

Ирена Квасневская

Zbrodnia i koza

https://litres.ru/74743353
SelfPub; 2026

Аннотация

W Rzeżuszowicach, najmniejszej wsi w gminie, nigdy nic się nie dzieje. Do dnia, w którym znika Maryśka – biała koza pani Janiny, emerytowanej nauczycielki i byłej sekretarki na komisariacie.

Uwiąz ktoś przeciął, koza wraca następnego dnia przywiązana do furtki, a potem ktoś demoluje dom pani Janiny. Po wsi kręcą się dwaj podejrzani typy, sołtys nagle obrasta w nowy telewizor, a sąsiedzi kłamią jak z nut. Policja się śmieje. Pani Janina zawiązuje różową chustę i zaczyna własne śledztwo.

Komedia kryminalna o babci, która widzi więcej niż wszyscy, i o kozie, która wie więcej, niż powinna.

Содержание

Zbrodnia i… koza 4
Rozdział 1: Zaginięcie Maryśki 4
Rozdział 2: Tajemnice sąsiadów 11
Rozdział 3: Zagadka pendrive'a 18
Rozdział 4: Pogrom 22
Rozdział 5: Pani Wanda 30
Конец ознакомительного фрагмента. 32

Ирена Квасневская
Zbrodnia i koza

Zbrodnia i… koza

Rozdział 1: Zaginięcie Maryśki

Pani Janina obudziła się wraz z pierwszymi promieniami słońca przy akompaniamencie wrzasku koguta sąsiadów – Żużela, który darł się tak, jakby go oszukali przy kasie. Powoli wstała, narzuciła na nocną koszulę szlafrok w kolorze eksplodującej cysterny z malinowym syropem i wyjrzała przez okno. Zamyślonym wzrokiem omiotła swoje podwórze. Wszystko było na swoim miejscu: szopa stała, tam gdzie zawsze („Dach by wypadało załatać" – westchnęła pani Janina w duchu), róże czerwieniały na krzaku, a stara jabłoń pochylała się ku ziemi jak staruszka zbierająca do fartucha dojrzałe jabłka.

Pani Janina wyszła na podwórze, otworzyła drzwiczki kurnika, a nioski natychmiast rozbiegły się po obejściu. Kot imieniem Józek (nazwany tak na cześć słynnego marszałka – za surowe spojrzenie i bujne wąsy) przeciągał się leniwie na dachu. Tylko jedna rzecz nie pasowała do obrazka.

Nie było kozy.

— Maryśka? — powiedziała podejrzliwie pani Janina, rozglądając się po krzakach i wokół jabłoni, jakby koza mogła wdrapać się na drzewo.

Nie, tam jej nie było. Pani Janina zamyślona podniosła z trawy jej uwiąz. Potem jakby mechanicznie zajrzała do szopy, na grządki i nawet do foliowego tunelu z ogórkami, gdzie Maryśka była stałą bywalczynią. Jednak kozy nigdzie nie było. Nawet jednego kłaczka sierści. **Nie było też żadnych śladów jej obecności – nawet tej charakterystycznej dróżki, którą zwykle zostawiała po sobie rogata ulubienica.**

— Ukradli. Na pewno ją ukradli! — stwierdziła pani Janina, łapiąc się za głowę.

Zdecydowanym ruchem narzuciła na głowę chustkę w kolorze szalonego różu. We wsi nazywano ją „bojową flagą", bo było ją widać z daleka.

— Bezwstydnicy! — pogroziła pięścią niewidzialnym złodziejom i wyszła przez furtkę.

Ulica Pawia, przy której mieszkała, wywijała ostry zawijas i przechodziła w Żurawią, a ta z kolei w Wilczą. Pani Janina zauważyła, jak w kilku oknach pojawiły się twarze sąsiadów i natychmiast zniknęły. Cała wieś wiedziała: jeśli pani Janina zawiązała różową chustkę i czegoś szuka, lepiej nie wchodzić jej w drogę. A jeśli już, to od razu się przyznać, wtedy mniej zaboli.

Pierwsza napatoczyła się pani Krystyna. Właśnie wynosiła wiadro z obierkami ziemniaków dla kur i nie zdążyła umknąć.

— Kryśka! Nie widziałaś mojej kozy? — Janina wsparła ręce

na biodrach.

— Kozy? — powtórzyła pani Krysia, mrugając zdezorientowana.

— Nie udawaj! Jakbyś Marysieńki mojej nie znała!

— A kto by jej nie znał? — mruknęła pod nosem pani Krysia. — Przez tę twoją kozę pół wsi prawie zawału dostało. — I dodała już wyraźnie, głosem lepkim i ciągnącym się jak kisiel: — A co, Maryśka uciekła? Może jakiegoś kozła wypatrzyła i polazła za nim?

„Jedyny kozioł w okolicy to twój mężulek, ale z tego, co wiem, już od miesiąca nie wychodzi z cugu", pomyślała pani Janina i pomaszerowała dalej.

***

A Maryśka, sympatyczna biała kózka o żółtych oczach i zgrabnych różkach, przeżywała właśnie najdziwniejszy dzień w swoim kozim życiu.

Spokojnie skubała trawę na skraju lasu, nieświadoma, że przygląda jej się dwóch podejrzanych typów w skórzanych kurtkach. Jeden był chudy, z zarostem, głębokimi zmarszczkami i wąskimi ustami Drugi – krępy i zwarty jak taboret, łysy i jakiś taki sprany, jakby go wrzucono do prania z wybielaczem i różowymi skarpetkami.

— Mówię ci, że to zeżarła! — pulchny paluch grubasa celował w Maryśkę. — Normalnie poczułem, jak mnie capnęła za tyłek, o tu, przy kieszeni! — poklepał się po pulchnym zadzie i bezradnie zamrugał bladymi oczkami, przypominając zagubione

cielę. — A potem jeszcze chrupała! A ten wzrok! Widzisz, jak bezczelnie się gapi? I jak my z niej to wyciągniemy?

— A po jaką cholerę trzymałeś to w tylnej kieszeni? I czemu od razu nie zareagowałeś?! — syknął drugi groźnie. — Pewnie pomyślałeś, że jakaś panienka łapie cię za tyłek, i od razu zmiękłeś…

Maryśka leniwie kichnęła i spojrzała na nich niewinnym wzrokiem. Mężczyźni wymienili spojrzenia.

— Czekamy — rzucił chudy, nerwowo oglądając się za siebie. — Nie mamy innego wyjścia…

— Czekamy na co? — zapytał zdziwiony łysy.

— Głupiś, czy co? Aż wyjdzie naturalną drogą. Albo, no wiesz… — przejechał wymownie kciukiem po gardle.

— Ej, no co ty?! — zaprotestował łysy. — Ja się nie pisałem na żadne „mokre sprawy". Nawet jeśli chodzi o kozę. I szkoda by…

— To siedź i czekaj na kozie bobki, skoroś taki wrażliwy. A w sumie, rzadko się to zdarza, ale masz rację. Nie ma co robić syfu. Miejscowi tylko by hałasu narobili. No? Słyszałeś, co powiedziałem? Zbieraj gówno i szukaj pendrive'a. Masz pojęcie, co będzie, jak ktoś inny go znajdzie?

* * *

Tymczasem niepokój pani Janiny narastał. Pytanie: „gdzie zniknęła Maryśka?" przyćmiło wszystkie inne myśli — nawet plan, by wreszcie posprzątać strych, gdzie przechowywała niezliczone skarby: od pięcioletniego dżemu po plastikowy

nocnik i chodzik najstarszej wnuczki, która niedawno skończyła siedemnaście lat.

Wieść o zaginięciu kozy rozeszła się po wsi szybciej niż zapach bigosu z kuchni pani Heleny. A kiedy pani Helena gotowała bigos, wiedzieli o tym nie tylko w Rzeżuszowicach, ale i w sąsiednich Bartoszycach.

— Mówią, że miastowi porwali ją na grilla! — szepnęła pani Krysia do niewielkiej kolejki w sklepiku pani Basi.

— Nie, ja słyszałam, że poleciała za jakimś kozłem — z uśmiechem wtrąciła Teresa, zręcznie przebierając cukierki w pudełku.

— Przecież nikt jej nie widział! A co, jeśli poszła do lasu? A tam pełno jest takich miejsc, z których nikt nie wraca — zauważyła tajemniczo pani Wanda, którą za plecami nazywano „naszą czarownicą", bo leczyła ludzi i zwierzęta równie okropnymi, co cuchnącymi miksturami. Prawda była jednak taka, że jej termojądrowa maść naprawdę działała. Na ból pleców, ukąszenia komarów i młodzieńcze pryszcze.

Pani Janina kontynuowała poszukiwania. Przepytała już pół wsi, ale bez rezultatów. Wróciła do domu i zobaczyła, jak od furtki cofa się Bartek, chłopak z sąsiedztwa, znany z tego, że zawsze właził tam, gdzie nie powinien.

— Aha, to ty mi jabłka podkradasz! — zawołała Janina, widząc go pod swoją jabłonią.

— Jakie jabłka, pani Janko? Ja tu… yy… tylko sobie powietrzem oddycham! — mruknął, próbując się ulotnić.

— I koza ci była do tego potrzebna?! Żeby powietrze było świeższe?

Bartek oblał się rumieńcem i coś tam niewyraźnie wymamrotał. Pani Janina, która pół życia przepracowała w szkole jako nauczycielka, a drugą połowę na komisariacie jako sekretarka, wyczuwała kłamstwo nie gorzej — a może i lepiej — niż niejedna maszyna do wykrywania fałszu. Nieraz, spisując protokoły przesłuchań, od razu wiedziała, że świadek kręci, choćby miał wybitny talent aktorski. A rozpoznać, że chłopak z uszami czerwonymi jak burak coś ukrywa, potrafiłby nawet mniej doświadczony śledczy.

Bartek wiedział, że ukrywanie czegokolwiek przed panią Janiną nie ma sensu. I tak wyciągnie prawdę na wierzch. Zresztą wiedzieli o tym wszyscy we wsi. Bo choć czasem przypominała zwykłą wiejską staruszkę, latającą za swoją kozą jak wariatka, to niewiele mogło się ukryć przed jej przenikliwym wzrokiem.

Ujęła Bartka za ramię i spojrzała mu prosto w oczy, mówiąc surowo, ale z czułością:

— Bartosz. Widziałam jej uwiąz. Nie zerwał się ani nie przetarł. Ktoś go przeciął, żeby Maryśka mogła uciec. Ale sama daleko nie poszła. Jest mądrą dziewczynką. Wiesz, jaka jest dla mnie ważna.

Oczywiście, że wiedział. Cała wieś znała tę historię — jak pani Janina uratowała Maryśkę jeszcze jako maleńkie koźlę, jak karmiła ją z butelki, jak układała do snu w dziecięcej kołysce, obkładając ją butelkami z ciepłą wodą, bo maleństwo cały czas

drżało i nie mogło się rozgrzać.

Wyrosła na uparciucha, ale była bystra i komendy rozumiała jak dobrze wyszkolony pies. Z panią Janiną były nierozłączne. Niektórzy podśmiewali się z kolejnego dziwactwa starej nauczycielki, ale większość odnosiła się do tej więzi z szacunkiem.

A Bartek faktycznie wiedział, kto przeciął uwiąz. Już otwierał usta, by to wyjawić, gdy nagle pani Janina rozluźniła palce zaciśnięte na jego ramieniu, rzuciła pośpiesznie: „Wpadnę do was… do ciebie… później" i pospiesznie się oddaliła. Bartek obejrzał się. Na końcu ulicy zobaczył wysoką, niezgrabną postać, która zdecydowanym krokiem zmierzała w ich stronę.

Pani Janina nie bała się niczego na świecie, oprócz szczurów, pająków i prób pana Ryszarda z sąsiedztwa, by ofiarować jej rękę, serce i inne części ciała. A przez całe dziesięć lat jej wdowieństwa nie tracił nadziei na wzajemność. I dlatego teraz, widząc, że Rysiek idzie w jej stronę, schowała się w domu w obawie, że znów będzie się jej oświadczał. Bartka też jakby wessało.

Pan Ryszard chwilę postał przy zielonej furtce, podrapał się po siwym zaroście i ruszył do sąsiadów — u męża pani Krystyny na pewno znajdzie się wiśniówka i gotowane kartofle na zagrychę. A wiadomo, że pocieszają nie gorzej niż nowomodni psychologowie, kiedy dama serca po raz kolejny odrzuca twoje zaloty.

Rozdział 2: Tajemnice sąsiadów

Gdy upewniła się, że Rysiek poszedł do sąsiadów i niebezpieczeństwo minęło, pani Janina znów ruszyła na poszukiwania. Tym razem skierowała kroki do domu sołtysa, pana Waldemara Krupy. Żwawo maszerowała w stronę jego posesji. Ulice w Rzeżuszowicach, najmniejszej wsi w ich gminie, były tylko cztery: Pawia, Żurawia i Wilcza, o których już wspominaliśmy, oraz główna – Słoneczna. Właśnie tam stał porządny dom sołtysa: z wysokim gankiem, nową dachówką i niewielkim ogródkiem, w którym — prawdziwy luksus — było nawet oczko wodne z liliami i złotymi rybkami.

Choć wieś była niewielka, miała wszystko, co potrzebne do życia: sklepik, przytulną piekarnię z puszystymi bułeczkami i świeżutkimi bagietkami, remizę ochotniczej straży pożarnej i, rzecz jasna, zabytkowy kościół, do którego w niedziele przyjeżdżał ksiądz Piotr z sąsiedniej miejscowości. Mieszkańców było niespełna stu, więc obowiązków sołtys nie miał przesadnie wiele: od czasu do czasu jeździł na zebrania, raz na trzy miesiące obchodził wieś, żeby zebrać podatki, i zajmował się bieżącymi sprawami oraz skargami.

Pani Janina energicznie weszła na ganek, zapukała i, nie czekając na odpowiedź, pchnęła drzwi.

Pan Waldemar, rozwalony na kanapie w przestronnym salonie zastawionym pamiątkami i zdjęciami z podróży, sączył

bursztynowy trunek z pękatego kieliszka. Na stoliku obok stał talerzyk z cytryną i kawałkami czekolady, a na ekranie wielkiego telewizora leciał program o wędkarstwie. Na podłodze stało kilka nierozpakowanych pudeł z elektroniką. O jedno z nich pani Janina omal się nie potknęła.

— Pani Janino! — Na widok gościa sołtys poderwał się z miejsca i poprawił koszulkę z napisem: „Najlepszy wujek na świecie". — Czemu zawdzięczam tę wizytę?

— Czemu, czemu… — pani Janina przeszła do ataku, opierając ręce na biodrach. — To Pan nie wie, co się tu wyprawia? Moja Marysieńka zniknęła!

— Pani koza? — pan Waldemar wyraźnie się zmieszał. — A co ja mam z tym wspólnego?

— A kto tu rządzi? Pan czy nie pan? To pytam ja się pana: dlaczego w tej wsi kradną kozy?

— To poważne oskarżenie — sołtys zmarszczył brwi. — Ale ja w tej sprawie nic nie mogę pomóc. Może sama uciekła?

— A przedtem sama przecięła uwiąz? — nie ustępowała Janina.

— Pani Janino — westchnął pan Waldemar, pocierając skroń — może zajrzy pani do ogrodu albo poszuka w lesie? Albo ostatecznie zgłosi sprawę na policję? Mam teraz ważne sprawy na głowie, nie mogę zajmować się szukaniem… kozy. — Wyglądało na to, że chciał użyć mocniejszego słowa albo dorzucić jakiś obraźliwy epitet, ale powstrzymał się z szacunku do pani Janiny, której trochę się obawiał.

— A cóż to za ważne sprawy? Ryby pan w telewizji ogląda?

Sołtys poczerwieniał, jakby przyłapano go na gorącym uczynku.

— Za pół godziny mam zebranie w gminie — odciął się. — Właśnie miałem wychodzić.

— No, właśnie widać — mruknęła złośliwie pani Janina, wlepiając wzrok w kieliszek. Pan Waldemar podążył za jej wzrokiem i oblał się jeszcze większym rumieńcem.

— To… to kwas chlebowy!

— W szklance do whisky. Z lodem. I cytryną. Prawdziwy koneser z pana. No dobrze. Miłego dnia.

Odwróciła się demonstracyjnie i szybko wyszła, zatrzaskując za sobą drzwi.

„Bardzo ciekawe" — mruknęła do siebie. Whisky w środku dnia nie była jedyną rzeczą, którą wychwyciło jej czujne oko, ale machnęła ręką i postanowiła zastanowić się nad tym później.

— Ech, jaki zagadkowy ten nasz sołtys — mruknęła, schodząc z ganku. — A może nie tylko koza zniknęła?

Pani Janina wróciła do domu, ułożyła na papierowym talerzyku babeczki, które dzień wcześniej upiekła na herbatę z koleżankami. Starannie przykryła je serwetką i ruszyła na ulicę Wilczą. Poszła w stronę domu, w którym mieszkała interesująca para — Dominika i Olek. Młodzi, wyraziści, wyglądali tak, jakby przez pomyłkę trafili z wielkiego świata do tego sennego zakątka, gdzie nigdy nic się nie dzieje. Ich dom też mocno odróżniał się od reszty zabudowy. Większość

chałup we wsi była stara, stawiana jeszcze na początku zeszłego albo wręcz pod koniec przedzeszłego wieku, przekazywana z pokolenia na pokolenie. A dom Dominiki i Olka trafniej byłoby nazwać nowoczesną podmiejską willą – szlachetny szary kubik z wielkimi panoramicznymi oknami i płaskim dachem. Pasowałby raczej do miejskiego osiedla niż do zagubionych na mapie **Rzeżuszowic**.

Dominika i Olek przeprowadzili się tu niedawno – rok albo dwa temu, co w wiejskiej skali znaczyło właściwie wczoraj. Kupili zapuszczoną działkę, postawili swoją „ptasią budkę", jak ochrzcili ich dom miejscowi, i przez pewien czas byli głównym tematem wszystkich plotek. Niezbyt długo, bo sami nie dawali powodów do gadania, z nikim się nie przyjaźnili, zawsze byli schludni i uprzejmi, ale aż podejrzanie skryci.

Pani Janina zapukała. Drzwi otworzyła Dominika, wyrazista blondynka ubrana w elegancki, jasnobeżowy domowy komplet.

— Pani Janino, coś się stało? — uśmiechnęła się lekko sztywno.

— Stało się, dziecko. Moja Maryśka zniknęła. Może coś widzieliście? Do mojego domu nie da się dojść, nie mijając waszego. No i te wasze kamery… — zaczęła pani Janina, zerkając ponad ramieniem gospodyni do przytulnego salonu. — A właśnie. Proszę, to dla was. — Wyciągnęła w jej stronę talerzyk z babeczkami.

— Koza? — Dominika udała zaskoczenie. — Nie, nic nie widzieliśmy.

Niechętnie wzięła talerzyk i odstawiła go na blat baru oddzielającego salon od kuchennego aneksu z wyspą i supernowoczesnym sprzętem. Na kawę nie zaprosiła, usiąść też nie zaproponowała, więc pani Janina pozostała na progu.

— Może sprawdzicie nagrania z kamer?

Dominika zatrzepotała rzęsami i wyraźnie się spięła.

— Od wczoraj coś nam szwankuje. Internet nie działa, a kamery są do niego podłączone. Czekamy na fachowca. Pani Janino, muszę lecieć do sklepu. Jak pani chce, to później porozmawiamy. — Zrobiła krok do przodu, a Janina odruchowo cofnęła się za próg.

— Wszystkiego dobrego. Miłego dnia — powiedziała Dominika z tym samym sztywnym uśmiechem i zamknęła jej drzwi przed samym nosem.

— No tak, jasne. Później — burknęła pani Janina, odchodząc.

Dominika wróciła do salonu, podeszła do barowej lady i, stukając wypielęgnowanymi paznokciami o wypolerowany blat, zamyśliła się.

— Czego chciała? — zapytał Olek, schodząc do salonu. Czarna koszulka z krótkim rękawem opinała mu tors, schludna broda ewidentnie widziała niejednego drogiego barbera, a cała jego aparycja sprawiała wrażenie, jakby dopiero co wrócił z sesji do modowego magazynu.

— Nie podoba mi się ta stuknięta stara baba. Łazi i coś węszy. Mówi, że zginęła jej koza. Chciała nagrania z kamer.

Olek drgnął.

— Mam nadzieję, że niczego jej nie pokazałaś?

— Oczywiście, że nie. Jeszcze nie oszalałam.

Wzięła talerzyk z babeczkami i bez najmniejszego żalu wyrzuciła je do kosza.

Tymczasem pani Janina nie przerywała swoich poszukiwań. Tym razem skierowała się do domu Magdy, mamy Bartka — tego samego urwisa, którego wcześniej przyłapała pod jabłonią.

Kiedy weszła do domu, chłopak siedział przygarbiony przed komputerem.

— No, mów — zaczęła surowo.

— Co mam mówić? — Bartek jeszcze bardziej się skulił.

— Coś widziałeś. Mów — powtórzyła stanowczo.

Chłopak pokręcił głową, ale jego wzrok uciekł w stronę kąta, gdzie stała para brudnych butów.

— Czyje to? — zapytała, wskazując.

— Mamy — odparł szybko, nie podnosząc wzroku.

Wyglądał na kompletnie zagubionego i bezradnego, więc pani Janina postanowiła bardziej go nie naciskać.

— Bartku — jej głos złagodniał, zrobił się ciepły i przenikliwy. — Wiesz, że możesz mi ufać. I wiesz, że i tak dojdę do prawdy.

Bartek zerwał się na nogi i wypalił:

— Ja nic nie wiem!

Wybiegł z pokoju, zostawiając panią Janinę sam na sam z pełną napięcia ciszą domu.

— Taaaak… — przeciągnęła pani Janina. — Robi się coraz ciekawiej — mruknęła pod nosem, jeszcze raz spoglądając na buty, po czym ruszyła do kolejnego celu.

Rozdział 3: Zagadka pendrive'a

Od tej całej bieganiny panią Janinę porządnie rozbolało kolano. „Trzeba by nasmarować to maścią Wandy" — pomyślała w drodze do domu. W przedpokoju sięgnęła po laskę, która już od dawna stała nieużywana, i ruszyła w stronę lasu.

Słońce chyliło się ku zachodowi, rzucając długie cienie na ścieżkę. Pani Janina szła powoli, nasłuchując odgłosów lasu. Mówili, że ostatni raz widziano kozę gdzieś na polu za drzewami. Gdy dotarła do małej polany, przystanęła, opierając się na lasce, i uważnie rozejrzała się dookoła.

— No i gdzie jesteś, kochana moja? — mruknęła, jakby naprawdę oczekiwała odpowiedzi.

Przy starym, na wpół spróchniałym pniu coś mignęło. Podeszła bliżej i zauważyła strzęp żółtej wstążki. Takiej samej, jaką przywiązała Maryśce, zanim ta zniknęła.

— Hm… — Pani Janina już miała schylić się po znalezisko, gdy nagle jej laska trafiła na coś twardego. Rozległ się metaliczny brzdęk. Opuściła wzrok i dostrzegła błyszczący, choć porządnie ubłocony przedmiot. — A to co znowu? — szepnęła. Ostrożnie podważyła go końcem laski i szybko podniosła. Pod grubą warstwą błota wyczuła długi i podłużny kształt.

Ostrożnie otarła przedmiot papierową chusteczką z paczuszki, którą zawsze nosiła w kieszeni.

— Niezły sprzęcik! — wykrzyknęła. — Wygląda mi to na

pendrive.

Wsunęła go do kieszeni i żwawo podreptała z powrotem do wsi, zapominając o bolącym kolanie.

Tymczasem dwóch dziwnych typów bezskutecznie próbowało ruszyć kozę z miejsca. Jeden przywiązał sznur do jej rogów i ciągnął, ale zwierzę przeciągle beczało i miotało łbem, więc kompletnie nie było wiadomo, w którą stronę ciągnąć. Drugi krążył wokół i próbował popychać kozę od tyłu, ale nic z tego nie wychodziło.

— Co ty wyprawiasz?! — burknął chudy, który był tu szefem. — To nie jest szafa!

— Jesteś pewien, że to dobry pomysł? — burknął łysy, poprawiając kaptur zsunięty na czoło.

— Ta baba urządziła śledztwo i postawiła całą wieś na nogi. Jeszcze nam tego potrzeba, żeby się tu kręciła? Albo skrzyknęła ekipę do poszukiwań? Albo, co gorsza, żeby przyjechała policja i wszystko tu przeszukała? Też sobie „ciche miejsce" znaleźliśmy. Nie ma co.

— I jak niby chcesz ją oddać?

— Normalnie. Przywiążemy ją do furtki. Jak ktoś zobaczy, to powiemy, że znaleźliśmy w lesie. A potem…

— A potem co? — łysy przestał krążyć wokół kozy i otarł pot z czoła.

— A potem będziemy codziennie wieczorem zaglądać do jej zagrody, jak baba zaśnie. Prędzej czy później to… odda — syknął chudy, zerkając na Maryśkę, która ze stoickim spokojem

wyciągała pysk w stronę kępy pokrzywy. — Najważniejsze, żeby właścicielka niczego się nie domyśliła.

Łysy pocmokał z niezadowoleniem.

— Myślisz, że się nie domyśli? Jak tylko miała mnie w zasięgu wzroku, to takie mi spojrzenie rzuciła, jakby wszystko wiedziała.

Chudy zatrzymał się i zmierzył towarzysza ciężkim wzrokiem.

— Wie. Nie wie. A co za różnica? Dopóki pendrive siedzi w kozim brzuchu, baba nie jest naszym wrogiem. Potrzebny nam tylko spokój. I żeby ta cholerna koza żyła, oddychała i regularnie… eee… produkowała nawóz.

Kiedy dotarli na podwórze, szybko przywiązali Maryśkę do ogrodzenia. W tym momencie chudy dostrzegł słabe światło latarki na ganku.

— Spadamy, zanim nas przyłapie.

— A jak wyjdzie i zobaczy kozę? — wyszeptał łysy, wyraźnie poddenerwowany.

— I dobrze. Niech myśli, że to dar od losu — uśmiechnął się złośliwie chudy. — A my wrócimy jutro po „niespodziankę".

Zniknęli w ciemnościach, zostawiając Maryśkę spokojnie skubiącą trawę. Koza zdawała się nawet nie zauważać, że wróciła do domu.

***

W tym samym czasie pani Janina próbowała otworzyć tajemniczy pendrive. Na ekranie komputera migały niezrozumiałe znaki, jakieś liczby i symbole. Wyjęła pendrive'a z komputera i wrzuciła go głęboko do swojej przepastnej torby – niech poczeka na lepsze czasy.

Nagle usłyszała dźwięk… nie, z niczym nie mogła go pomylić!

Tak jak stała, w nocnej koszuli i wełnianej chuście, wybiegła na podwórze.

— Jezu kochany! — zawołała i rzuciła się, żeby objąć kozę, która niewzruszona skubała trawę przy furtce.

— Marysieńka! Moja dziewczynka! — W oczach pani Janiny zakręciły się łzy radości. Pospiesznie obejrzała Maryśkę od łba po kopyta, a kiedy upewniła się, że wszystko z nią w porządku, zaprowadziła ją prosto do domu. Wyjęła z lodówki duże jabłko, pokroiła je na kawałki i podała kozie, nie przestając jej głaskać. Maryśka wtuliła ciepły nos w jej dłoń.

— Wszystko dobrze, kochana. Jesteś w domu. Jesteś bezpieczna — szeptała pani Janina, nie przeczuwając, że prawdziwe kłopoty dopiero nadejdą.

Rozdział 4: Pogrom

Pani Janina wracała z miasta w świetnym humorze. Siatki z zakupami ciążyły jej w rękach, ale cieszyła ją myśl, że poczęstuje odzyskaną Maryśkę chrupiącą marchewką, zaniesie Wandzie ciastka z ich ulubionej cukierni, i wnuka, który miał przyjechać w sobotę, też będzie miała czym ugościć.

Otworzyła drzwi i natychmiast, jakimś szóstym zmysłem, wyczuła, że w domu coś jest nie tak. Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach, ale **śmiało** weszła do salonu. Siatki wypadły jej z rąk, a jabłka z głuchym stukiem potoczyły się po podłodze.

— Jezus Maria — tylko tyle zdołała wydusić.

W jej ciepłym, przytulnym saloniku z małym piecykiem i półeczkami, na których starannie ustawiono zdjęcia dzieci i wnuków, panowało istne spustoszenie. Ramki zrzucone na podłogę, drzwiczki piecyka otwarte, węgielki rozsypane. Ktoś rozgrzebał palenisko, a potem przeszedł po popiele w butach, zostawiając wszędzie ohydne ślady.

Podniosła z podłogi ramkę z ciemnego drewna — jej ślubne zdjęcie z Radkiem. Po szkle biegły pęknięcia cienkie jak pajęczyna i nagle wydało jej się, że zmarły mąż patrzy na nią z wyrzutem. To właśnie zabolało ją najbardziej. Nie porozcinane i bezlitośnie wypatroszone poduszki z kanapy, nie rozsypana po podłodze kasza, nawet nie rozbite porcelanowe figurki, które przez lata zbierała z taką starannością. Pani Janina ciężko usiadła

na taborecie w przedpokoju, wciąż ściskając w dłoniach ramkę.

Przez dobre dziesięć minut siedziała w milczeniu, jakby w odrętwieniu. Tylko wargi lekko jej drżały, jakby modliła się albo prowadziła z mężem rozmowę bez słów, przepraszając go za to, co się stało. Potem, jakby nagle się ocknęła, wybrała numer na policję. Krótko, oszczędnie i rzeczowo opisała, co zaszło.

Po zaledwie piętnastu minutach przed jej domem zatrzymał się radiowóz. Z auta wysiadł dobrze jej znany dzielnicowy Witek. Towarzyszyło mu dwóch młodych funkcjonariuszy w mundurach. Sam Witek był po cywilnemu.

Najpierw podszedł do pani Janiny. Dopiero gdy upewnił się, że nic jej nie jest — a ona zdążyła już dojść do siebie i odzyskać swój zwyczajowy bojowy nastrój — dołączył do kolegów, którzy zaczęli oględziny miejsca zdarzenia.

— No dobra, chłopaki, robimy jak zawsze. — Wyciągnął notatnik. — Pani Janino, czy była pani w tym czasie w domu?

— Oczywiście, że nie! — rozłożyła ręce. — Byłam w mieście, w aptece i na bazarze. Wracam, a tu coś takiego!

Młody policjant podszedł do przewróconego stołu i podniósł z podłogi rozbitą szklankę.

— To ewidentnie nie profesjonaliści — mruknął. — Amatorzy.

— Jacy znowu amatorzy?! Pogromów? — oburzyła się pani Janina. — U was to jakiś termin? „Amatorski pogrom”? **A szklanka była porządna!**

— No już, już — przerwał jej Witek, ukrywając uśmiech. —

Pani Janino, a nie pokłóciła się pani ostatnio z sąsiadami? Może to ktoś miejscowy?

— A może ja sama wszystko urządziłam? — powiedziała, mrużąc oczy. — No to dawaj, dorzućmy jeszcze parę wersji. Może zemsta Ryśka za to, że nie poszłam z nim na tańce czterdzieści lat temu? A może to ten rzeźnik, który w zeszłym tygodniu próbował mnie oszukać przy kasie, ale dostał za swoje, więc wyśledził mnie i postanowił się odegrać? Albo to demony?

— Pani Janino — Witek rozłożył ręce. — No dobrze, głupio powiedziałem, przyznaję. Ale może ma pani jakieś przypuszczenia?

Pani Janina zmierzyła go surowym spojrzeniem znad okularów.

— Przypuszczenia? — powtórzyła, jakby zapytał, czy bierze udział w spisku przeciwko rządowi. — Oczywiście, że mam. Witek, ja jestem kobietą rozsądną i głupot nie gadam. Jakby ktoś chciał się mścić, to by powiedział wprost! A to… — machnęła ręką na bałagan. — Tu nie chodzi o złość. Tu chodzi o coś innego. Szukali czegoś.

— Czego konkretnie? — Witek uniósł brwi i dał znak młodszym funkcjonariuszom, żeby kontynuowali oględziny.

— O to samo pytam: czego? U mnie nie ma co kraść! Biżuterii dawno nie mam. Chyba że ktoś połasił się na moje plastikowe korale, myśląc, że to prawdziwy bursztyn. Pieniądze trzymam w banku. A sprzęt… — pani Janina pokręciła głową. — Komputer mam dobry, wnuk mi go kupił. Ale jest nietknięty. O, tam leży, w

pokrowcu. A ten telewizor lampowy służy mi bardziej za stolik. Jak coś ukradli, to może pilota. Od dziesięciu lat nie mogę go znaleźć.

Witek uśmiechnął się pod nosem, ale zaraz znów spoważniał.

— To po co ten cały bajzel? — zerknął na rozprute poduszki. — Ewidentnie czegoś szukali. Tylko czego?

— A skąd ja mam wiedzieć?! — wybuchnęła pani Janina. — To wy jesteście od szukania! Szukajcie, a ja wam powiem, jak coś sobie przypomnę. Jedno wiem na pewno: to wszystko nie stało się bez powodu.

Podeszła do przewróconej szafki, schyliła się, podniosła rozdarty woreczek z lawendą i skrzywiła się, patrząc na rozsypany susz.

— Witek, słuchaj… a jeśli oni czegoś się bali? Albo nie szukali, tylko przeciwnie… przytargali tu coś… niedobrego? A teraz tego szukają? — mówiła coraz ciszej.

— Jak to? — Witek pochylił się lekko, żeby lepiej ją słyszeć.

— A skąd ja mam wiedzieć, jak?! — rzuciła nerwowo, poprawiając chustkę. — Takie pytania zadajesz, jakbym z tymi… — wskazała na brudne ślady na podłodze — w zmowie była!

Witek zamyślił się, drapiąc się po brodzie.

— Najważniejsze, żeby pani sobie przypomniała, czy ostatnio nie wydarzyło się coś nowego? Nikt obcy się tu nie kręcił? Może we wsi pojawiły się jakieś nieznajome twarze?

Pani Janina zmarszczyła brwi, a potem nagle uniosła palec

wskazujący.

— Wiesz co… — pochyliła się do niego i ściszyła głos do szeptu. — Mam jedną myśl. Ale Witek, tylko się nie śmiej.

— Ależ skąd, pani Janino — odpowiedział poważnie.

Zerknęła na młodych policjantów i znowu przeszła na szept:

— Może to ma związek z moją kozą?

Witek ledwie powstrzymał się od parsknięcia śmiechem.

— Pani Janino, no proszę… co ma do tego koza?

— No bo… — Pani Janina wyprostowała się lekko zarumieniona. — Koza może i nie ma z tym nic wspólnego. Ale przecież zniknęła. Znalazłam jej uwiąz. Przecięty. A potem nagle się odnalazła. Była przywiązana do mojej furtki. Czyli ktoś ją ukradł, a potem oddał, rozumiesz? Sama sobie przecież sznura nie przecięła. I sama się do furtki nie przywiązała. Nieźle się upociłam, walcząc z tym węzłem żeglarskim. Ona jest mądra, owszem, ale makramy to jeszcze nie robi.

Witek znowu się uśmiechnął, ale szybko nad sobą zapanował. Mimo żartobliwego tonu pani Janiny to, co mówiła, brzmiało naprawdę podejrzanie.

— I to jeszcze nie wszystko — kontynuowała starsza pani. — We wsi kręciło się dwóch dziwnych typów. Widziałam ich kilka dni przed zniknięciem Maryśki i później też.

— Może ich pani opisać? — Witek robił zapiski w notesie.

— Jak postacie z dowcipu albo komiksu. Gruby i chudy. Jeden — wychudzony i zgarbiony, z worami pod oczami, trzydniowym zarostem i tłustymi włosami, które mu wisiały po bokach.

Drugi… taki zwarty. Nie gruby, tylko krępy, jak z jednej bryły. Jakiś taki bez wyrazu. Blady, jakby sprany. Wzrostu mniej więcej tego samego, tylko chudy wydaje się wyższy, a tamten niższy. Ubranie też niczym się nie wyróżniało — sweter, dżinsy, kurtka. I wiesz… kiedy szukałam kozy i przeszłam pół wsi, dowiedziałam się tylu ciekawych rzeczy…

— Pani Janino, to wszystko brzmi interesująco, ale nie sądzę, żeby wiejskie plotki pomogły nam rozwiązać tę sprawę.

— Czyli uważasz mnie za starą plotkarę? — oburzyła się.

Witek ugryzł się w język. Trudno było zarzucić pani Janinie puste gadanie. Mówiła dużo, owszem, ale trafnie.

— Przepraszam jeszcze raz. Więc co udało się pani ustalić?

— Może to nieistotne, ale u Magdy, co mieszka dwie chałupy dalej, stoją wielgachne męskie buty. Takie ciężkie, wojskowe glany. Na Bartka i Magdę ewidentnie za duże, a przecież mieszkają tam tylko we dwoje. A ślady na podłodze są chyba od takich butów, dobrze myślę?

— To pokaże ekspertyza. Ale to nie jest żaden rzadki model. Chłopaki — wskazał głową na funkcjonariuszy — też mają służbowe. Ja sam mam takie w domu. W internecie jest tego pełno, a w sklepach z militariami kupi się je bez problemu.

— Tylko że Bartek wyraźnie coś widział i nie chce powiedzieć co. A nasz sołtys? Nagle pojawiły się u niego pudła z nową elektroniką i ogromny telewizor na pół ściany. A jeszcze niedawno niczego takiego nie miał. Spadek po cioci z Ameryki? W dodatku mówił, że wyjeżdża, a wcześniej siedział i popijał

whisky. A on nigdy nie siadał za kierownicę po alkoholu. Kłamał. Potem ta para, co się tu niedawno sprowadziła. Dziewczyna patrzyła mi w oczy i łgała, że nie ma nagrań z kamer, bo nie było internetu. Myślała, że jak stara baba, to rzucisz jej dwa mądre słowa i uwierzy. Tylko że kamery działają niezależnie od internetu. Jest potrzebny tylko do podglądu na żywo.

Witek pokiwał głową z uznaniem. Nie wątpił w bystrość starej nauczycielki, ale nie wiedział, że ma też takie techniczne rozeznanie.

— To wszystko bardzo ciekawe, pani Janino. Ale nie wykluczałbym, że to wszystko jest przypadkowe.

— Przypadkowe?! Przypadkiem to może co najwyżej łyżka w zupie utonąć! A tu ludzie kłamią, zacierają ślady i coś ukrywają. Może jeszcze powiesz, że i tu ktoś wszedł przypadkiem? Domy im się pomyliły i zamiast do bogatego domku wwalili się do mojej chałupy? A potem się rozczarowali, że diamenty okazały się za małe?

Pani Janina nagle urwała. Poczuła, jak krew napływa jej do policzków, uszu i całej twarzy. Chwyciła ustami powietrze, po czym gwałtownie je wypuściła.

— Pani Janino, źle się pani czuje? — Witek natychmiast zareagował. — Wody? Może pani usiądzie?

Posłusznie usiadła na skraju kanapy. Dobrze być zabawną staruszką. Czasem można udać, że to ciśnienie, serce albo coś w tym stylu, a nie że właśnie płoniesz ze wstydu, bo przypomniałaś sobie coś naprawdę ważnego. I przy okazji postanowiłaś, że

policji na razie o tym nie powiesz. Wszystko w swoim czasie.

Rozdział 5: Pani Wanda

Gdy tylko Witek z kolegami odjechali, pani Janina trochę posprzątała w domu, ale uznała, że porządki dokończy później – teraz miała do zrobienia coś ważniejszego. Chwyciła pudełko z ciastkami, które kupiła w mieście, dała Maryśce marchewkę i jabłko, po czym ruszyła ścieżką w stronę małego domku na skraju wsi.

Dzień zbliżał się ku końcowi, gdy pani Janina, wciąż zdeterminowana, by dojść do prawdy, zapukała do drzwi pani Wandy. Przytulny domek z oknami, z których sączyło się ciepłe, mleczne światło, wyglądał jak wyjęty z obrazka o spokojnym wiejskim życiu. W malutkim ogródku kwitły lawenda, szałwia i dziurawiec, rosły nagietki, goździki i setki innych ziół i kwiatów, których łacińskie nazwy Wanda znała na pamięć. To właśnie do jej drzwi pukali mieszkańcy wsi po napary, płukanki, maści i suszone zioła, które pomagały na wszystko pod słońcem.

— Wandusiu, mogę wejść? — zapytała Janina, zaglądając do sieni.

— Oczywiście, kochana, wchodź! — odezwał się głos z głębi domu.

Janina weszła i rozejrzała się. Od lat nic tu się nie zmieniło: półki zastawione słoiczkami, pęki ziół suszące się pod sufitem, a tu i tam płócienne woreczki z pachnącymi liśćmi i kwiatami. W powietrzu unosił się zapach mięty, tymianku, lawendy i

czegoś cierpkiego, lekko gorzkawego. Na stole u Wandy stał szklany czajniczek ze świeczką pod spodem, która podgrzewała aromatyczny napar, i dwa kubki. Zupełnie jakby spodziewała się gości.

— No, mów, Janka, co się tym razem stało? — zapytała Wanda z lekkim uśmiechem, nalewając herbaty.

— Oj, kochana! Coś strasznego! Pogrom w moim domu! Wszystko wywrócone do góry nogami. I jestem prawie pewna, że czegoś szukali! — Pani Janina klapnęła na krzesło, zsunęła chustę z ramion i rozejrzała się po kuchni. — Jak myślisz, czego mogli chcieć? I co ma do tego moja koza?

— Koza? — zdziwiła się Wanda, unosząc brew. — Janka, no coś ty. Opowiadaj po kolei.

Janina streściła wszystko, co wydarzyło się w ostatnich dniach: nagłe zniknięcie i niewytłumaczalny powrót Maryśki, podejrzane typy we wsi, pogrom w domu. Wanda słuchała w ciszy, od czasu do czasu tylko kiwała głową, a potem zamyśliła się i powiedziała:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «Литрес».

Прочитайте эту книгу целиком, купив полную легальную версию на Литрес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.